XV. Kraków, 15 grudnia 1912. Nr. 24.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV. ul. Nowowiejska 83 (Dom własny). Telefon Nr. 479.
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.



— Sądzę, mój Władziu, że zanim popadniesz w deliryum, powinieneś zapisać mi swój majątek... Potem mogłaby mi twoja rodzina robić trudności!

Od Administracyi.



Z numerem niniejszym kończy się IV-ty kwartał. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Galicyi czeki pocztowe celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumerata w Galicyi już wraz z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	Kor. 8·—
Półrocznie	„ 4·—
Kwartalnie	„ 2·—

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem prenumerować można „Bociana" za pośrednictwem każdej księgarni, lub też wprost u głównego naszego zastępcy

Biuro G. UNGRA w Warszawie

ALEJE JEROZOLIMSKIE 78.

Rocznie już wraz z przesyłką pocztową	5 Rbs.	
Półrocznie „ „ „ „	2 „	50 kop.
Kwartalnie „ „ „ „	1 „	25 „

Każdy z naszych Prenumeratorów, **który nadeśle przekazem lub czekiem poczt. Kasy Oszczędn. w Wiedniu wprost do Administracyi naszego pisma, Kraków, Nowowiejska 83** prenumeratę za cały rok z góry, t. j. 8 koron i 35 halerzy na porto poleconej przesyłki, **otrzyma gratis**

Wspaniały Kalendarz „Bociana"

na rok 1913

zawierający przeszło 50 illustracyi, humoresek nadzwyczaj interesujących, wierszy zajmujących, pióra najwybitniejszych naszych polskich humorystów-satyryków, słowem istną perłę humoru polskiego!

Cena Kalendarza „Bociana" na rok 1913

1 korona, w Królestwie Polskiem 50 kop.
z przesyłką pocztową . . . . . 70 kop.

Znudzona życiem.

Piękna Lili jest znudzona,
Jest znudzona całkowicie,
Lili wszystkim się odgraża
Że odbierze sobie życie.

Ani plotki jej nie bawią,
Ani miłość młodych ludzi,
Biedna Lili, mała Lili
Nudzi się, ach! jak się nudzi!...

Hrabia Artur zrozpaczony,
Jak ten waryat za nią lata,
Pyta, skąd się wziął u Lili
Wstręt do życia, żal do świata?

— O! mój hrabio! — mówi Lili
Głos w molowe strojąc tony —
Ty i każdy z waszych ludzi
Ma byt urozmaicony!...

Moje życie monotonne!
(Przy tych słowach nóżką stuknie) —
Ciągle jedno i to samo:
Wdziewać i zdejmować suknię!...

Chat-Noir.



Z sali egzaminacyjnej.

Rygorozum polityczne. Dowcipny egzaminator i bardzo słabo przygotowany, arystokratyczny kandydat.

— Przypuśćmy, że pan jesteś ministrem oświaty — mówi profesor do kandydata. — W jakiej drodze zmieniłby pan porządek nauk na wydziale prawniczym: zapomocą ustawy, czy też zwykłego rozporządzenia?!...

Kandydat milczy.

— Więc dajmy na to — bada dalej profesor — pan jesteś tylko szefem sekcyi, może teraz pan odpowie na moje pytanie?

Lecz kandydat dalej uporczywie milczy.

— Ależ, na miłość boską! — woła profesor z komiczną rozpaczą. — Panie hrabio! Przynajmniej jeden w ministerstwie musi to wiedzieć?!!...

* * *

Okoliczności te same, jak powyżej, kandydat hrabia X., już na trzecie z rzędu pytanie nie odpowiedział.

— Panie kandydacie — mówi egzaminujący profesor — że pan będziesz namiestnikiem Galicyi, temu nie mogę przeszkodzić, ale mogę tę ewentualność nieco opóźnić!...

Kandydat, hrabia X., padł przy rygorozum politycznem.

Co może hypnoza.

(Humoreska).

Panna Eufemia znajdowała się już prawie w krytycznym wieku według określenia znanej pani Michaelis, która orzekła, że kobieta przez całe swe życie może mówić o wieku krytycznym, z tą jednak różnicą, że w pierwszej połowie jest on krytycznym dla jej męskiego otoczenia, w drugiej dla niej samej.

Otóż panna Eufemia przekroczyła już dawno Rubikon życiowy i znajdowała się w tym drugim okresie krytycznym, pozatem była jeszcze dość szpetną i fałszywą.

O ile rozchodzi się o fałszywość, to bynajmniej nie mam na myśli jej charakteru, któremu ostatecznie nic nie możnaby zarzucić, ale włosy na jej głowie były fałszywe, brwi fałszywe, zęby fałszywe, wogóle sztuką uzupełniała wszystkie prawie szczegóły postaci niewieściej, wystawione na widok publiczny.

Ostatecznie nie powinnoby się nic mieć przeciw temu, ząb czasu niszczy przecież wszystko, gdyby nie to, że panna Eufemia koniecznie jeszcze chciała uchodzić za piękność, chciała zawsze mieć obok siebie roje adoratorów, czuła się szczęśliwą, gdy się jej prawiło komplementy, a jeszcze bardziej lubiła, jeśli który mężczyzna do tego stopnia zapalił się do niej, iż był gotowym na wszelką ewentualność... z wyjątkiem naturalnie ożenku, bo panna Eufemia była za mądrą, by uwierzyć, że ktoś pragnąłby ją pojąć za żonę.

Miała zatem bohaterka nasza licznych wielbicieli i dobrze na tem wychodziła.

W jaki sposób to możebne?... zapewne kto zapyta.

Całkiem po prostu!

Panna Eufemia chodziła na bale maskowe, nigdy jednak maski podczas zabawy nie zdejmowała, przechadzała się po najbardziej cienistych alejach, a wiadomo, że wieczór letni w takiem miejscu usposabia mężczyzn szczególnie romantycznie.

Są wówczas takie chwile, że się nie patrzy na osobę, zwłaszcza, że pociemku wszystkie koty wydają się czarne...

Trzeba także wiedzieć, że panna Eufemia była prawdziwą filozofką i na życie zapatrywała się z właściwego punktu widzenia.

Dopóki się jest młodą i przystojną, należy używać życia, a jeśli się jest starą i brzydką, należy go także używać, *nota bene,* jeśli się ma środki potemu.

Pozatem była ona ekscentryczką, wierzyła we wszystko nadprzyrodzone, w duchy, kabałę, stoliki wirujące, przepowiednie hypnotyzerów i tak dalej i dalej...

Jednem słowem, konterfekt ten, skreślony powyżej, gotów odstraszyć od niej nawet największego śmiałka.

Ale panna Eufemia miała jedną bardzo dodatnią stronę, a była nią jej rozkoszna i cudna siostrzenica, panna Wandzia, która właśnie kończyła ośmnastą wiosnę życia i stanowiła zupełny kontrast swej cioci...

Była młoda i przystojna, wszystko na niej było naturalne, nic też dziwnego, że stanowiła cel westchnień wszystkich młodzieńców, którzy ją napotkali na drodze swego życia, bez względu na to, czy dopiero zaczynały się im sypać wąsy, czy też grzebień czasu przerzedził już niegdyś bujne ich czupryny.

Tego rodzaju kwiatek, powiedzmy raczej jabłuszko, musiało też prędzej, czy później znaleźć swego amatora, zwłaszcza, że Wandzia, jak już wspomnieliśmy, piękną była jak Afrodyta, a bogatą jak Krezus.

Z tych przygodnych konkurentów, o których już wyżej była mowa, żaden jednak nie mógł się tem poszczycić, aby Wandzia bodaj łaskawiej niż na innych na niego spoglądnęła, powodem tego była zaś ta okoliczność, iż serduszko jej było już zajęte przez młodego chłopca, ukończonego słuchacza praw, pana Karola, ładnego, ale biednego, jak mysz kościelna.

Jest niezbitą prawdą, że wszyscy ojcowie chcą mieć porządnych synów, a wszystkie ciotki cnotliwe siostrzenice.

Tak było dawniej, tak jest i dziś, tak samo będzie i za lat sto, lub dwieście.

Ciocia Femcia ani na jotę nie różniła się od innych ciotek w tym względzie i o ile, gdy się o nią samą rozchodziło, nie lubiła, by mężczyźni bawili się w jakieś tam ceremonie i głupie ceregiele, o tyle znów, gdy siostrzenica w grę wchodziła, stawała się prawdziwym (wprawdzie

Taniej.

— Nie masz pan pojęcia, jakie wrażenie wywiera na człowieka morze... Gdy się stoi nad brzegiem niezmierzonego oceanu, wówczas dopiero czuje człowiek całą swoją nicość!

— E... Ja tę przyjemność mam taniej w domu, gdy moja żona zacznie gadać!

Przez telefon.

— Hallo! Czy z „Bocianem" mówię?
Kto tam jest przy telefonie? —
— Tu centralne biuro mamek!
To przepraszam i — oddzwonię!

— Hallo!... Zakład pogrzebowy!
Horak!... Jaka miara trumny?...
— Ja z Redakcyą mówić pragnę
Żart, co najmniej... nierozumny!

— Hallo! „Bocian"? — Chciałbym mówić —
Kto i czego sobie życzy?
To aluzye bardzo głupie,
Tu jest Zakład położniczy!

— A! przepraszam!... Hallo!... „Bocian"?
Straż pożarna!... Gdzie się pali?
Nigdzie!... — To dla czego dzwonić,
Dyabli pana by porwali!...

— Trrr!... Czym dobrze połączony?
Tak! kochany mój Alfredzie!
Dziś do ciebie przyjść nie mogę,
Chyba, że mój mąż odjedzie!...

Oczywiście, że przed nikim
O „wczorajszem" ani słówka!
Ach! à propos! tam u ciebie
Musi moja być sznurówka!...

Więc odeszlij!... — Nie odeszlę!...
Schluss! Trrr... Kto tam? Skład z cykoryą!
Schluss... Z kim jestem połączony?...
Co?... jak?... z kim?... — **Z prokuratoryą**!!

Chat-Noir.

Malarz i modelka.

— Gdyby ludzie wiedzieli, że to ty pozowałaś mi, każdy chętnie dałby za obraz pięćdziesiąt koron...

— E... oni nie tacy głupi! Każdy dałby chętniej te pieniądze za oryginał, niż za kopię...

I tak bywa.

Wędrowna menażerya zatrzymała się w małem miasteczku. Przedstawienia odbywały się w całej pełni, ludziska schodzili się jak na odpust, by podziwiać wspaniałe okazy egzotycznej i polarnej fauny.

Tymczasem jednak zdechł po długich a dolegliwych cierpieniach wspaniały lew berberyjski, prawdziwa ozdoba zakładu.

Dyrektor był niepocieszony, rychło jednak znalazł radę. Z nieboszczyka kazał ściągnąć skórę i wpakował w nią tęgiego parobka, który miał obowiązek kręcić się w niej po klatce, mruczeć i ryczeć, jak lew prawdziwy.

Wszystko poszło, jak z płatka, publiczność była zachwycona lwem, dyrektor zacierał ręce, cyrkowa primadonna, lekceważąc sobie życie, bez rewolweru wchodziła do klatki dzikiej bestyi...

Pewnego dnia zapomniano jednak zamknąć kratę, dzielącą przedział, przeznaczony dla lwa, od takiegoż, w którym mieścił się tygrys, a mieszkaniec nadgangesowych dżungli wkroczył spokojnie do komnaty jego królewskiej mości...

Wówczas stało się jednak coś niespodziewanego. Lew, znalazł się w jednej chwili w kącie klatki, przykucnął na zadnich łapach, przednie wzniósł do góry i zaczął krzyczeć najczystszą polszczyzną:

— Gwałtu!... Na pomoc!

A tygrys zatrzymał się także i ku zdumieniu ciekawej rzeszy odpowiedział z czeskim trochę akcentem:

— Stul gębę!... A któż ci co robi?...

Między przyjaciółkami.

— Wyobraź sobie, wczoraj chciał mnie pocałować na ulicy jakiś nieznajomy mężczyzna... Nie masz pojęcia, jak biegłam!

— No... i dogoniłaś go?

Aha!

— Czy ze mną źle, panie doktorze?

— To zależy od tego, czy on się z panią ożeni!

I tak dalej.

Pewna panienka miała to brzydkie przyzwyczajenie, że powtarzała ciągle wyrazy: „i tak dalej".

Raz zdarzyło się, iż odwiedził ją kolega z uniwersytetu.

Przybycie jego ucieszyło ją bardzo, więc zaraz po powitaniu rzekła:

— No... zdejmcie paltot... i tak dalej!

Znalazła się w kropce.

Mąż: Że też ty kobieto nie marzysz o niczem innem, tylko o strojach... Niedawno dopiero kupiłem ci nowy kostyum... Czy nie mógłbyś myśleć o czem *wyższem*...

Żona: Naturalnie... o kapeluszu, którego mi gwałtownie potrzeba!

Wątpliwe zadośćuczynienie.

Pani Blaszke z panią Paszke,
Dwie sąsiadki, przyjaciółki —
Mają swoje wspólne troski,
Strych, piwnicę — też do spółki.

Gdy na strychu pani Blaszke
Szmaty swe rozwiesza ładnie,
Pani Paszke jej pilnuje,
Czy jej czego nie ukradnie?

Idzie Paszke do piwnicy,
To jej przyjaciółka szczera,
Pani Blaszke — kontroluje,
Czy jej węgli nie zabiera?

Pani Blaszke ma córeczkę,
(Rzadko tak dziewczyny byczej!)
Jest obecnie na kuracyi
Na klinice położniczej!

Pani Paszke ze współczuciem
Do sąsiadki się odzywa:
„Ach! doprawdy pani Blaszke!
Pani jesteś nieszczęśliwa!"

Ale jedno mnie pociesza,
Bo współczuję bardzo z panią!
Że córeczki uwodziciel
Trzy miesiące dostał za nią!

— I cóż z tego? — rzecze Blaszke,
Choćby nawet dostał więcej?
Moja córka za łajdaka
Miała *dziewięć* aż miesięcy!..

Chat-Noir.

W szkole.

— Powiedz mi, mój Jasiu, co człowieka umacnia i pokrzepia w nieszczęściu?

— Żytniówka, proszę pana psora!

tylko jednogłowym...) Cerberem, który gorliwie strzegł skarbu, jakim była Wandzia...

Nie pozwoliła na spojrzenia, irytowała się, gdy młody człowiek odezwał się do jej wychowanki, a już wpadała w pasyę, spostrzegłszy, że robi do niej czułe oko...

Do cioci, to co innego, ale nie do takiej smarkuli, która ma dość czasu na poznanie życia i jego przyjemności.

Wobec tego szanse biednego Karola nie były wcale świetne, na każdym kroku prześladowała go ciocia, snująca się za swą siostrzenicą, jak widmo. Była ona tego zdania, że Wandzia powinna być grzeczną i posłuszną, potem zaś wyjść za mąż za jakiegoś, co najmniej, właściciela dóbr, ale nie prawnika, który długo musi czekać, nim dochrapie się bodaj złotego kołnierza.

Na miłość niema jednak rady, choćby ciocia pilnowała swej siostrzeniczki, jak oka w głowie, ona przecież znajdzie sposób, by się bodaj piśmiennie skomunikować ze swym kochanym Lolem.

Tymczasowo porozumiewali się młodzi ludzie ze sobą listownie, ich *postillon d'amour* była stara Katarzyna, która swą panienkę kochała, jak własną córkę, a ciocię Femcię nienawidziła serdecznie, posądzając ją, może niesłusznie, że zagradza Wandzi drogę do szczęścia.

— Widzicie ją!... — mawiała nieraz do siebie — w starym piecu dyabeł pali!... Mojej panience to nie pozwala nawet spojrzeć na chłopca, a sama, gdyby się sposobność nadarzyła, to z pewnością przeleciałaby się za mąż bez namysłu!

Tak stały sprawy, aż do owego dnia, gdy pan Karol, otrzymawszy list od Wandzi, wpadł na genialny pomysł.

Treść owej epistoły, którą nosił na sercu, była następująca:

„Ach! Jak chętnie uściskałabym Cię, drogi mój Lolu, ale cóż, ta szkaradna ciotka, ani rusz nie chce na to pozwolić! Gdybyś był duchem, albo choć czarownikiem, nie sprzeciwiałaby się naszemu kochaniu, naturalnie, o ile sama mogłaby na tem coś skorzystać"...

Wówczas to strzeliła Karolowi do głowy myśl, którą bezzwłocznie w czyn wprowadził.

Najpierw odpisał Wandzi, podając jej jak najdokładniejsze wskazówki, jak ma postępować, a następnie wybrał się do miasta, aby poszukać swego przyjaciela Stefana, którego musiał wtajemniczyć w całą sprawę.

Znalazł go w knajpce przy bombce pilznera, gdzie poczciwy chłopak przygotowywał się do ostatniego rygorozum.

— Słuchaj Stefek! — rzekł na wstępie. — Szukam cię już godzinę! Byłem na uniwersytecie, byłem w biurze, byłem w domu... Przepadłeś, jak kamfora!

— Głupiś bracie! Wiesz przecież, że to moja *hora canonica!* Gdybym o tej porze nie wycycał swych czterech bombek, byłbym cały dzień do niczego... O coż się zresztą rozłazi?... Siadaj i opowiadaj!... Panie Władziu!... Bombkę, ale ładną!

— Potrzebuję twej pomocy!...

— Żałuję bardzo, ale jestem goły...

— Ale nie finansowej! Chcę, byś mi dopomógł w urządzaniu pewnego kawału... Przytem możesz i sam skorzystać względem tego, co to i owszem, a zarazem zyskasz moją wdzięczność, która cię będzie prześladować do grobowej deski!

— Panie!... Nie jestem godzien!...

— Daj spokój kpinom i słuchaj...

Popili piwka, otarli wąsa, pan Karol nachylił się ku uchu przyjaciela i przez długą chwilę coś mu szeptał.

Przemawiał zaś tak przekonywująco, że pan Stefan odrazu się zgodził, raz dlatego, że był dobrym kolegą, a po drugie, iż ogromnie był zawsze łasy na to „co to i owszem"... i w ten sposób można go było zachęcić do popełnienia, najszlachetniejszego czynu, a zarazem i największego głupstwa.

* * *

W kilka dni później panna Wandzia czytała popołudniową gazetę.

Nagle przerwała lekturę i zwracając się do cioci Femci zawołała:

— Ciociu! Niechno ciocia przeczyta sobie ten anons!

Ciocia wzięła gazetę do ręki, a nos jej i oczy skierowały się w stronę, którą wskazywał różowy paluszek panny Wandy.

Czytała tam, co następuje:

„Indyjski fakir, Kiwamuna Jajo, światowej sławy hypnotyzer i spirytysta, zatrzyma się na



Naturalnie!

Ojciec, wchodząc do pokoju, zastaje swego syna na bardzo czułem sam nam z pewną młodą panienką.

— Co to jest? — woła rodzic, oburzony. — Precz stąd!

— Kto, ojcze? — pyta skruszony synalek. — Ta panienka?...

— Nie!... Ty smarkaczu!...

Przed tombolą.

— Bardzo chętnie wezmę udział w tej tomboli, gdyż cel jest tak szlachetny... Będę sprzedawała całusy...

— A czy mógłbym prosić o kilka próbek?

Nowomodne wychowanie.

— Nie wiem, jak pani może prowadzić swą nieletnią córkę do teatru na tego rodzaju sztuki...

— Ja też podczas drażliwych scen daję jej zawsze czekoladki...

Zapóźno!

— Powiadam ci jednak, moja Maniu, byś była ostrożną i ilekroć jesteś sam na sam z tym młodym prawnikiem, nie dopuściła do tego, by sobie za dużo pozwalał...

— Dlaczego mi mama tego nie powiedziała w tamtym tygodniu?... Teraz już zapóźno!

Fatalna obrona.

— Czy to prawda, że pani swego męża musiała umieścić w domu dla obłąkanych?

— Niestety, prawda! Niech pani sobie jednak wyobrazi, złe języki ludzkie powiadają, że to ja go do tego doprowadziłam, tymczasem ja stanowczo twierdzę, że on miał już źle w głowie, gdy się ze mną żenił...

Z pamiętników otomanki.

Narodziłam się w meblowym
Pierwszorzędnym magazynie,
Który „*prix-fix*" ma zasadę,
A z wyrobów swoich słynie.

Nabyła mnie pewna pani
I wstawiła do sypialni,
Gdzie, jak przekonana byłam,
Że żyć będę najmoralniej.

Byłam kryta pięknym pluszem,
Cała miękko polstrowana,
Jednem słowem: pięknej pani
Godna piękna otomana!

Pani rzekła do służącej:
Jest pożytek z otomany,
By nie niszczyć ciągle łóżka,
Można na niej dla odmiany!"[1])

Byłam więc dla praktyczności,
Łóżko było na paradę,
Moja pani wzięła sobie
Także „*prix-fix*" za zasadę!

Com widziała, com przeżyła,
Moja Muzo! o tem nie piej!
Po co zresztą opowiadać?
Wszak wy sami wiecie lepiej!

Wreszcie nadszedł czas krytyczny,
Cios w nas palnął nakształt gromu:
Mnie sprzedano do szynkowni,
Wyrzucono panią z domu.

Odtąd smutne losy nasze,
Ja i ona nieszczęśliwa!
Ja w tym szynku stale mieszkam,
Ona też tam czasem bywa!

Czasem, gdy usiądzie na mnie,
Skrzypię z żalu, bo zaiste! —
Dawniej czułam wszystko pulchne,
Dzisiaj chude i kościste!...

[1]) Rozumie się: spać!

Chat-Noir.

Z wykładów naszych znakomitości.

Co się tyczy barwy księżyca, to jest ona zazwyczaj inną.

Kropla tego lekarstwa, wtarta na język psa, zdolna jest zabić najsilniejszego człowieka.

Najnowsze badania historyczne wykazały dowodnie, iż Hannibal był rzeczywiście synem swego ojca.

Newtona zna każdy, nic więc o nim więcej powiedzieć nie potrzebuję, ponadto, że umarł.

Po straceniu Maryi Stuart pojawiła się królowa Elżbieta w parlamencie, mając w jednej ręce chustkę do nosa, w drugiej łzy.

Ryszard kazał stracić wszystkich swych następców na tronie.

Brutus i Kassyusz zamordowali Cezara w sposób bardzo szkodliwy dla jego zdrowia.

Z trzechset Spartan, walczących pod wodzą Leonidasa, do wieczora zaledwie pięciuset pozostało przy życiu.

Podobne czyny bohaterskie są w historyi rzymskiej bardzo częstem zjawiskiem, które jednak bardzo rzadko się zdarza.

Aleksandra otruto na trzy lata przed śmiercią.

Maksymilian I. nie tracił nadziei, że jeszcze kiedyś ujrzy tron na swej głowie.

Hottentoci mają tak bystry wzrok, że oddalonego o dwie godziny drogi konia poznają po zapachu.

Do najznakomitszych produktów Egiptu należy bezsprzecznie jego klimat.

Tyrolczycy są bardzo górzystym narodem.

Galicya ma obecnie więcej mieszkańców niż dawniej, co się tem tłumaczy, iż przedtem miała ich mniej.

Po bitwie pod Mustafą Paszą widziano na pobojowisku rozbiegane bez jeźdźców konie, którym ustrzelono po dwie, trzy, cztery i więcej nóg.

---

krótki czas w Krakowie. Przyjmuje w swem mieszkaniu przy ulicy... nr... codziennie od godziny trzeciej do piątej popołudniu. Honoraryum umiarkowane".

Cioci Femci aż zaświeciły się oczy! To było przecież coś dla niej!

— Zaraz popołudniu tam pójdziemy! — rzekła do siostrzenicy. — Ty wiesz, jak mnie interesują tego rodzaju doświadczenia.

Wandzia chciała oponować, radziła, aby ciocia poszła sama, na nic się to przecież nie zdało, musiała ustąpić.

Ledwie zjadły obiad, wybrały się w drogę, by się przypadkowo nie spóźnić. Ciocia była ogromnie zdenerwowaną, spodziewając się rzeczy nadnaturalnych, siostrzenica również, ale z innego zupełnie powodu.

Z trudem wyspinały się na drugie piętro i zapukały do drzwi.

W pierwszym pokoju, przybranym wschodniemi makatami i zastawionym jakimiś dziwacznymi sprzętami, przyjął ich fakir.

Ciotka spojrzała nań uważnie, twarz była jej zupełnie nieznaną, obrzuciła potem przelotnie okiem całą postać mistrza i przyszła do przekonania, że był młody, przystojny i bardzo dobrze zbudowany.

To dla niej zupełnie wystarczało.

Pokój tonął w miłym półmroku, fakir zbliżył się do pań i zdawał się przyjemnie bardzo reagować na czuły uścisk dłoni szczelnie zakwefionej damy, naturalnie cioci Femci, bo Wandzia trzymała się zdaleka.

Po kilku słowach powitania, wypowiedzianych łamaną polszczyzną, rzekł Indyanin:

— Jeśli mamy zrobić małe doświadczenie, towarzyszka pani dobrodziejki musi przejść do drugiego pokoju... Przy świadkach absolutnie by się nie udało!

— Wandziu! Proszę cię, przejdź do drugiego pokoju! — rzekła ciocia.

Wandzia jakoś się ociągała, ciocia jednak, nie znosząca opozycyi, wypchnęła ją za drzwi, zasłonięte grubą kotarą, a sama potem rzuciła się na krzesło...

Fakir stanął przed nią z wyciągniętym palcem wskazującym...

* * *

Gdy się drzwi zamknęły, Wandzia znalazła się w objęciach najdroższego Lola i poczuła na swych wargach jego „drogie" usteczka...

. . . .

Posiedzenie trwało stosunkowo dość długo, wreszcie posłyszała siostrzenica głos cioci, wołającej ją do siebie.

— Chodź, Wandeczko! Już idziemy do domu!

Wandzia przyszła, a ciocia, nie patrząc na nią, ale w bok, mówiła:

— Nie gniewaj się, kochanie! Hypnoza nie działa tak odrazu! Ależ też musiałaś się wynudzić!...

Wandzia nie odrzekła ani słowa, co było z jej strony bardzo nieładnie, bo w samej rzeczy nie nudziła się wcale!

* * *

W godzinę potem schodzili po schodach pan Karol i Stefan (nawiasem mówiąc ogromnie podobny do owego indyjskiego fakira) i rozmawiali ze sobą bardzo żywo.

— Pojutrze znowu przyjdą! — rzekł Karol.

A Stefan spoglądał przez chwilę na przyjaciela, wreszcie rzekł spokojnie, ale stanowczo:

— Cenię bardzo twą przyjaźń, Karolu, ale muszę ci stanowczo odmówić! Moja rola jest już skończona! Po pierwsze, przypatrzyłem się jej zblizka, to stare pudło, po drugie zaś, przyznam ci się szczerze, nie potrafiłbym drugi raz sprostać wymaganiom, jakie ona stawia hypnotyzerowi...



Poezya i proza.

— Ach! najdroższa Jadziu! Czy mogę się spodziewać, że mnie nareszcie wysłuchasz?... Powiedz, kiedy będę się mógł nazwać najszczęśliwszym z ludzi?...

— Czy środa będzie dla pana odpowiednią... bo doprawdy wszystkie dni w tygodniu mam już zajęte!...

Żywa reminiscencya.

W pewnej wiosce, gdzie Pilica
Toczy bystre swe odmęty,
Był stoczony swego czasu
Z Tatarami bój zacięty.

— „Bij! tłucz!" — wrzasła nasza wiara
A Tatarzy rykli: „Alla! — —
Jeden rycerz gdzieś się podział,
Gdy husarya nacierała.

Gdzie? To bogom jest wiadomo,
No i jednej też niewieście,
W domu której, drżąc ze strachu,
Dzielny rycerz skrył się wreszcie.

U niewiasty dobroczynnej
Rycerzowi było danem
Zjeść i wypić. Tam nocował
I pożegnał ją nad ranem.

W lat dwadzieścia dzielny rycerz
Będąc w owej okolicy
Poznał dom ten, gdzie się schronił,
Kiedy bój wrzał przy Pilicy.

Poznał także gospodynię —
Dzisiaj babę z siwym włosem,
I westchnienia czyniąc srogie
Rozrzewnionym mówił głosem:

„Matko! Czy też pamiętacie
Ową bitwę, stąd — pół mili?
I mnie także, któregoście
Nakarmili, napoili?"

Zadumała się babina
Na rycerskie to gadanie —
„Bitwę tę pamiętam dobrze,
Ale was — nie pomnę panie!..."

— „Byłem u was przed ćwierć wiekiem
Czy wam starość pamięć mami?
Daliście mi klusek z mlekiem
I pierzynę ciepłą z pchłami!"

Babie również łzy się kręcą,
„Kluski z mlekiem i pierzyna?!"
I po czole palcem stuka,
I coś sobie przypomina.

I do izby raźno skoczy
I do drzwi komory wali:
„Chodźno tutaj, córko moja,
Bo twój tatuś przyjechali!..."

Chat-Noir.

Na polowaniu.

Znany krakowski lekarz, dr. X., wybrał się na polowanie wraz z gronem swych przyjaciół. Ale pan doktor nie miał szczęścia, co strzelił, to chybił.

— To straszne! — narzeka przed sąsiadem — strzelam już pół dnia i dotąd nic nie zabiłem!

— Mam na to sposób! — odpowie tenże.

— No?...

— Niech konsyliarz zapisze co zającowi!



Każda kubita ma dwa błędy: raz, że nie jest męczyzną, a drugie, że jest kubitą.

⊙ ⊙

Jak ja si przyczepim do kubity, to ja jij musze puścić parę aforyzmy, dłuższy, albo krótszy i nigdy nimam dość. To znak, że dla kubity potrzebne są zawsze aforyzmy.

⊙ ⊙

Moja znajoma, pani Salzstangel, powiada, że każdy menczyzna podobny jest do żelazka od prasowania. Jak jest zimny, to nie można go używać, a jak jest gorący, to można wszystko spalić.

⊙ ⊙

Gdyby mi się pytali, kto jest lepszy minister, Zaleski czy Biliński, to ja byłbym w wielkim kłopocie, co odpowiedzieć, ali, gdyby się spytali, który z nich gorszy, to ja także długo musiałbym się namyślać.

⊙ ⊙

Bardzo rzadko można spotkać kubity, która przyznaje, że potrzebuje mieć wielki trzewik, albo taką, która wróciwszy do domu, nie wie, jak była ubrana jej przyjaciółka.

⊙ ⊙

Nima na świecie kubity, któraby nie chciała być panną i panny, któraby nie chciała spróbować być kubitą.

⊙ ⊙

Najrzadziej spotkać pannę, która jest panną.

⊙ ⊙

Gęsz to jest bardzo miłe i smaczne stworzenie, ale, jak się powi do panny, że una jest gęsz, to una potrzebuje się o to gniwać.

⊙ ⊙

Ludzie, co jadą do Zakopanego i tam się drapią z dołu do góry, to są z przeproszeniem bardzo głupi! Jak oni są już na górze, to oni patrzą się na dół i powiadają, że tam jest bardzo ładnie. Jak na dole jest ładnie, to poco oni drapią się do góry?

⊙ ⊙

Co to jest tricykl?... Jak Icyk siada na bicykl, to jest wtedy tricykl.

⊙ ⊙

Wszystkie ludzie na świecie dzielą się na takich, co już potrzebowali siedzić w kryminale i na takich, co jeszcze nie siedzieli, ali będą siedzić! Pan dobrodżyj do któryj kategoryi należy?

Flegmatyk.

Profesor budzi się w nocy, słysząc szmer w pokoju przyległym. Budzi się także i jego żona i mówi:

— Mężu! Tam ktoś kradnie!

A profesor na to:

— Tyle razy ci już mówiłem, byś się nie wtrącała do tego, co inni robią...

Cenzor moralności.

Tylne Dziury — są jak miastem,
Miastem — prawie powiatowem,
Są siedzibą Władz przeróżnych,
Władz wysokich — jednem słowem.

Jest Magistrat i *„Steueramt"*
(Na nim orzeł z głowy dwiema)
Bardzo ładny jest kryminał,
Tylko szkoły jeszcze niema.

Dla rozwoju tego miasta,
(W którem życie niech się budzi!)
„Towarzystwo gimnastyczne"
Założyło grono ludzi.

I tą myśl w czyn wprowadzono,
Choć projektów było wiele,
Bo pan Burmistrz sam powiedział
„Panie tego — — w zdrowem ciele!"

Więc ćwiczyli tam panowie
I ćwiczyły też panienki
W kostyumikach, w których głównie
Wyróżniały się spodeńki.

A gdy która „z gimnastyki"
Szła przez miasto krokiem śmiałym —
„Zdrowe ciało! zdrowe ciało!"
Powtarzano ze zapałem.

Ta wieść doszła także uszu
Pana c. k. kancelisty,
(Był rok temu „tytularny",
Dzisiaj jest już „rzeczywisty").

Pan ten, znany z moralności
(Ma „nieślubnych" tuzin cały) —
Ale tego się nie liczy,
Bo te na wsi się chowały.

Kancelista — człek moralny —
(O czem się już wyżej rzekło) —
Słysząc o tej gimnastyce
Zrobił w mieście istne piekło.

Przyszedł sam na gimnastykę
I rzekł: „Jest to zwyczaj brzydki,
By się panny przyznawały,
Że w pończoszkach — mają łydki!"

I tak grzmiał w swem oburzeniu:
„To jest sprośnie, to niegodnie,
„Moje panie i panienki!
„Proszę zaraz zrzucić spodnie!..."

Chat-Noir.

A widzisz!

Panna Anielcia skarży się przed swą przyjaciółką, panną Julcią:

— Doprawdy, nie wiem, co mi się stało! Od jakiegoś czasu nie mam apetytu, głowa mnie wciąż boli, co chwila mam uczucie, że zbiera mi się na wymioty, a przytem jestem dziwnie jakoś zdenerwowana...

— A widzisz! — odpowiedziała Julcia. — Nie chciałaś mnie słuchać, gdym ci mówiła, abyś była ostrożna z mężczyznami!



— Mógłbyś przestać palić! Dym ci stanowczo szkodzi!

— Owszem, bardzo dobrze robi na mój organ trawienia!

— Przecież jeszcze nie jedliśmy kolacyi...



— Bardzo żałuję, ale cały hotel jest tak zapchany, iż pokojem o dwu łóżkach stanowczo służyć nie mogę!

— Nic nie szkodzi! Zupełnie wystarczy, jeśli tylko moja żona będzie się miała gdzie położyć!



— I jakże poradziłaś sobie bez parasola w czasie tak strasznej ulewy...

— Spotkałam jakiegoś jegomościa, który mnie odprowadził...

— To doprawdy szczęście!

— Dyabła tam!... Pokazało się, że on już żonaty!



— Ach, jaki ty Karolu jesteś dziś zimny wobec mnie! Jeszcze mnie nawet nie pocałowałeś!...

— Bo zdaje mi się, najdroższa, że jadłaś kwargle!



— Jak pan mógł się odważyć na to, by wejść do mego buduaru!... Czy pan nie widzi, że dopiero wstaję?...

— Bardzo przepraszam! Ja byłem pewny, że pani jeszcze śpi!



— Bój się Boga, tylko nie wygadaj się z czem przed moją żoną!

— Niech się pan nie boi! Ona zna pana chyba dobrze, więc i takby nie uwierzyła!...



— Pochlebiają mi pańskie oświadczyny, ale niestety, przyjąć ich nie mogę, gdyż właśnie przed kwadransem otrzymałam list od hrabiego Lola, w którym mnie prosi o mą rękę...

— To może pani pozwoli, że się zgłoszę za tydzień!



— Czy to prawda? Słyszałem, że siostra pani znów się z mężem rozwiodła...

— Tak! Ona dotąd będzie igrać z ogniem, aż wreszcie umrze jako stara panna!



Ferdek Eleuteryk.

A to ci morowy binios z tygo pana Klapy! Nagrypsoł w tamtym lumerze, że on był w Macedoniji, a jo nie byłem bendoncy i nawymyśloł mi od draniów i to takich ostatnigo rzendu, z którymi nawet król Pieter ani Ferdek nie byłby godajoncy!

To jest z przeproszyniem kalumnija, rzucono na mnie, bo właśnie jo, a nie kto jenszy oglondołem na własne kapowidła gzyms króla Ferdka i jo to byłem tym, który mu doradziuł, aby zminiuł swe nazwisko na Symeona drugigo.

Jeśli mi kto nie wierzy... to do bani z nim! Jo se ta z tygo nic nie jezdem robioncy, prosze sie zreśtom spytać pirszom lepszom brzane, czy nie znom sie na sprawach macedońskich, a jeśli sie znom, to widać, że tam byłem!

Pon Klapa nie był tam wcale, bez ten czas siedzioł w Krakowie i chloł głombikowom w kratke, a tak siarczyście pracowoł w poletyce bałkańskij, że Redakcyjo musiała trzy pary nożyczków być do ostrzynio oddajonca.

Niech sie ino skuńczy wojna, już jo go za te obraze honoru wyzwe na udeptanom ziemie, abo na przepicie! Kto do rade wienkszyj liczbie bomb, ten bedzie uznany za zwycienżajoncygo, a drugi zapłaci całom ceche, abo tyż kože sobie zapisać na rachonek, jako iż teroz mamy moratoryjom.

Choć prowde mówioncy, na udeptanom ziemie trudno teroz zapraszać kogo w Krakowie, ze wzglendu bowiem, że zima jest sie zbliżajonco, majestrot rozkopuje furt ulice, a pomaga mu w tym i wojsko i poczta, która jest nowe kable telefoniczne ciengiem zakładajonca. Z tygo powodu mamy na ulicach tyle błota, że kiedyś o mały figiel jednymu gawrowi nie utopiła sie w nim teściowo.

Nimioł jednak szczyńścio, przyknajały strażoki od Nowotnygo i wyciongneny jom jeszcze żywom, choć ledwie dychajoncom.

Zrobili my jij zaroz na mijscu sztuczne oddychanie z przodu i z tyłu, jo skoczułem na róg do szynku po kubek sakramenckij z mocnom i babina się pokrzepiła.

Tak, jak dotond kużdy pytoł sie drugigo:

— Panie pon! Nie widzioł pon gdzie Prohaski? — tak teroz znów godajom o tym, czy bedzie wojna, czy ni? bo jak mo być, to niech bedzie zaroz!

W tyj materyji chciołem zrobić interwiu z którym poletykiem, ale ponieważ jeden jest we Widniu, drugi zajenty parcelacyjom grontów poportkifikacyjnych, trzeci znów czym innym, poknajołem na Mały Rynek do pana Arona Gajera, który tyż zno sie na tym.

— Panie Aron! Nie widzioł pon Prohaski? — pytom.

— Co ja nimiołem go widzieć? — odpowiedzioł. — Dopiro teroz potrzebowoł przechodzycz przez Małego Rynku... Zdaje mi sie, że nawet wstempowoł do Barberoskigo na blache!

— A bedzie wojna? — pytom dalij.

— Dlaczego ni? Albo bedzi, albo nie bedzi... Ja wolałbym, co bedzi, bo ja mam kilka przechodzowany mundury, to możnaby je sprzedać dla rezerwisty... Ale ja panu co powim! Wojny nie bedzi, bo nima hopy! A bez hopy to ani pon Berchtold, ani pon Affenberg, ani nawet pon Lyo nie do rady... Jak żydzi powiedzom: dać hopy! — to bedzi wojna, a jak powiedzom: nie dać! — to nie bedzi!

— No, a żydki co powiedzom?

— Żydki, panie Ferdek, to som wielgie przyjacielowie od pokoju, to oni na taki niepewny jenteres nie bedom wybulić hopy... Chyba, że możnaby na tym co zarobić... Ja potrzebowałem kupić od Serbów i Bułgarów wszystkie zdobyte na Turkach kanony i straciułem na tym! Na tandycie dali mi po trzy korony za sztuke, a mnie samygo kosztowały po cztyry... Żebym taki zdrowy buł i jutra nie doczekoł! Może mo pon, panie Ferdek, jakom starom marynarke? Ja kupim! A może stary spodni?

— Chyba te, co nosze na sobie!

— Ja kupim! Ale jak pan pódzi bez nich do domu?... Teroz zimno, może sie pan zakatarzyć!

— To tyż jo ich panu zaroz nie ściongne! Pon mi do a konto, a jo je panu oddom po wojnie!

— Nu... a jak wojny nie bedzi?

— To ich nie oddom wcale...

— Ni, ja takie jenteresy nie jezdem robioncy! *Gite Woche!*

— *Git Jur!*

I tak my sie roześli...

Widzom jednak z tygo Szanowne Czytelniki i kochajonce Czytelniczki, że wojny nie bedzie, bo pon Aron nie chce, wienc choć razem z mym przyjacielem, panem Władziem, chcielimy pójść na ochotnika i zapisać sie do ptoków, to jest takigo wojska, co to loto nad Krakowem w różnych balionach, trza dać gembie siana i siedzieć cicho.

Raczyj zbirojcie hopy na różne bałabuchy i fiśtoklony, bo świnta Bożygo Narodzynio som już za pasem, a kto wi, czy to nie bendom ostatnie, bo ta staro wiedźma z Paryża, pani Hebes, czy Tabes, czy jak sie tam inaczyj nazywo, nagrypsała, że rok 1913 bedzie jeszcze gorszy, niż ten, który sie właśnie, dzienki Bogu, kuńczy... Żeby jom pokrenciło w precla za takom przepowiedniom! Na latarnie z babom!...

Co se ta zreśtom zawracać makówe takiemi głupstwami. Przykrzy sie brzanie, majacy tyż, jakby jom kto z przeproszyniem posadziuł na rozpalonyj blasze... Ale nici z tygo.

Używojmy świont, nie oglondajoncy sie na niom, a nie zapominojmy o panu Ferdku (to jest o mnie, nie o tym bułgarskim, bo on jest Symeon...), który przyjmuje z wdzincznościom wszelkie świntalne podarunki tak w naturze, jak i w gotówce... Pamintojmy tyż, że rok 1912 sie kuńczy, wienc, kto chce być zbawionym, niech odnowi prenumerate. — Z powodu niepewnyj setuacyji można jom złożyć z góry i za dziesińć lat!...



Nie przesądzać!

Pewien facet z pewną damą
Miał znajomość jeszcze krótką,
Lecz, chcąc zręczność swą okazać,
Proponuje — jazdę łódką.

Jadą tedy — wiosła chlapią,
Łódka pędzi, niby strzała,
Facet milczy, jak zaklęty,
Aż się panna odezwała:

„Sport wioślarski, to dla pana
Jakąś dziwną ma ponętę —
Pańskie ręce, pańskie myśli
Tylko łódką są zajęte!"

Na to facet odpowiedział:
„Ja zaręczam już panience,
Że na brzegu wnet czem innem
Zajmę myśli me — i ręce!..."

Chat-Noir.

Mądre myśli zakatarzonego.

Jedną wspólną cechę ze swą prababką Ewą będą zawsze i wszędzie miały kobiety: każda chce koniecznie spróbować, jaki smak ma owoc zakazany.

Kobiecie z początku bardzo trudno przyzwyczaić się do kochania, później jeszcze trudniej odzwyczaić się od niego.

Każda kobieta jest skromną i obyczajną z natury, ilekroć jednak udaje się w męskie towarzystwo, zostawia te cnoty w domu.

Kobiecie więcej zależy na piękności, niż nawet na życiu.

Daleko niebezpieczniejszą jest miłość kobiety, niż nienawiść mężczyzny.

Kobieta wybaczy mężczyźnie każdą wadę, tylko nie gadatliwość.

Obudzić miłość bardzo łatwo, utrzymać ją daleko trudniej.

Miłość nie wie, co mówi, ale wie, co czyni.

Miłość jest powodem, że młodzi dojrzewają, a starsi młodnieją.

Spuścizną po miłości jest zazwyczaj żal.

Miłosne awanturki interesują nawet najbardziej oziębłych ludzi; starają się oni rozgrzać w ten sposób.

Dwie drogi prowadzą do miłości, prosta i krzywa.

Nawet i gwiazdy spadają.

Kto nie lubi wina, kobiet i śpiewu, ten będzie z pewnością żył o wiele dłużej, niż amator tych rzeczy.

Niejedna kobieta woli, aby o niej mówiono źle, aniżeli nic.

Im mniej włosów na głowie męża, tem więcej miejsca na rogi.

Gdy kobieta kocha, traci serce, mężczyzna traci także i rozum.

Także małżeństwo dla interesu może uszczęśliwić... ale innych.

Jeśli cię zdradza ukochana, nie martw się, pomści cię następca.

Separatka jest Sedanem miłości. Tam kapituluje nawet najbardziej zacięty nieprzyjaciel.

Kobieta nie ma nigdy dość miłości, wielbicielowi jej może się ona natomiast rychło przejeść.

W miłości łatwiej zwycięża porucznik, niż najbardziej doświadczony jenerał.

Największem szczęściem w miłości jest nie mieć do niej szczęścia.

Kobiety i złoto tem są miększe, im są czystsze.

Mężczyzna żeni się, bo jest znudzony, kobieta wychodzi zamąż przez ciekawość, obydwoje jednak doznają najczęściej przykrego rozczarowania.

Na bankiecie lekarskim.

— Pozwólcie panowie, że wypiję za zdrowie...

— Nie! Nie!... Protestujemy!

Z rozmów kuchennych.

Kasia (do swego kaprala): Wencel! Ty musisz jeszcze inną kochać, bo coś zanadto tyjesz!

Odważny Icek.

Pan Icek jest kasyerem w tartaku. Właśnie wracał przez las z miasta, niosąc przy sobie większą sumę pieniędzy na wypłatę robotników, gdy wtem zaszedł mu drogę jakiś rzezimieszek i wymierzywszy doń z rewolweru, zawołał:

— Pieniądze, albo życie!

— Nu!... Jeśli tak, to ja panu wolę dać pieniądze!

I sięgnął do kieszeni, aby wydobyć porfel, ale zanim to uczynił, rzecze:

— Ja panu dam wszystkie pieniądze, jakie mam, ale pan musi mi zrobić jedną łaskę!

— Jaka to ma być łaska? — pyta zbój.

— Widzi pan, jeżeli ja przyjdę do mego pryncypała bez pieniędzy, to bedzi wielgi krzyk i gezejres i on powie, co ja je potrzebowałem zabrać dla siebi. Nikt mi nie uwierzy, że do mnie przyszedł taki pan z rewolwerem i zabrał mi je. Dlatego, aby mi uwierzyli, to pan musi strzelić do mojego kapelusza!

To rzekłszy rzucił kapelusz na ziemię, a zbój wypalił doń z rewolweru.

Icek podnosi kapelusz, ogląda go na wszystkie strony, ale nie jest jeszcze widocznie zadowolony, bo zwraca się do bandyty ze słowami:

— To za mało! Oni powiedzą, że ja się za mało bronił! Panie zbój, pan musi strzelać jeszcze do mojego surduta!

Rabuś uczynił, jak Icek pragnął.

Ale i tego było mu nie dość, więc rzecze:

— Nu, jeszcze przez kamizelkę i bedzi fertig!

— Kiedy już nie mogę!

— Dlaczego nie mogę? — pyta zdziwiony Icek.

— Bo już nie mam kuli w rewolwerze!

A Icek na to:

— Tak?... Jak niema kuli, to niema i pieniędzy!... Bądź pan zdrów!

I odszedł sobie najspokojniej.

Para, niepara!

Pan Ignacy, którego żona spodziewa się lada chwila rozwiązania, siedzi w swym pokoju i oczekuje na radosną nowinę.

Wtem wchodzi uśmiechnięta *madame* i odzywa się:

— No, proszę zgadnąć! Para, czy niepara?

— Myślę, że chyba niepara! — odpowiada ojciec.

— Zgadł pan! Są *trojaczki!*

Pan Ignacy zaklął tylko pod wąsem!

Dojrzały.

Pan Władysław ubiega się o rękę panny Wandzi i oświadcza się jej ojcu.

— Zdaje mi się — rzecze ten na to — iż pan jesteś jeszcze do żeniaczki za młody!

— Ja?... — odpowie na to pan Władysław. — Jest pan w błędzie! Ja mam już przecież reumatyzm...

Między młodymi poetami.

— Więc to prawda, że pańska Muza przynosi mu tyle, iż można z tego żyć?

— Tak... ale na razie tylko jako wegetaryanin!

Ucieczka z haremu.

Jak wiadomo jest powszechnie
Sułtan serce ma jak z wosku,
O kwiat kobiet najpiękniejszych
Postarał się w Ildiz-Kiosku.

Tak przykazał mu Alkoran,
Obowiązek to dlań cierpki,
Bo ma starzec w ewidencyi
Niemki, Czeszki, Włoszki, Serbki.

Ma Żydówki i Francuzki
I co tylko majtki nosi —
Oburzają się na niego
Niemcy, Czesi, Żydzi, Włosi!

Gdy Bułgarzy Stambuł zajmą
Pod dowództwem Ferdynanda,
Rzecz ciekawa: co też na to
Haremowa powie banda?

Francuzka:

Ach! mon Dieu! to jest *siurpryza!*
Aż mnie z wstydu palą pyski!
Mon ami!... Zanosić prędko
Moje rzeczy i walizki!

Bulgar! co masz nos ten duży!
Reverance dla twego króla.
Moja chlopca! ty mnie ratuj,
Bo ja pójdę do konsula!...

Wiedeńka:

'S ist mir Wurst!... To wszystko jedno!
Bułgar, Serb, różnicy niema!
Ich pack' meine sieben Zwetschken,
Wien bleibt Wien!... Na, siervas!... Geh' ma!

Z głodu w Wiedniu nikt nie umrze,
Net wahr Schatzerl? — Kto niebrzydki,
Kto ma taką, jak ja, talię
I — *Hoch Oesterreich!* — te łydki!!...

Czeszka:

To *viborne! zatraceni!*
Serb od przodu, Bułgar *z zadu!*
A ja nie *kcem* ich *milowat,*
Ja kce *sem* do Podjebradu!...

Tam *„kde domov mój?“* — śpiewamy
I z powidlem jemy knedle,
W Podjebradzie — ja wam rzeknę,
Najpiękniejsze rosną *medle!...*

Węgierka:

Hat! foregelt!... War!... Kiwano!
To historya nadzwyczajna!
Dobrze, że pisała po mnie
Madam Rosa z Grosswardajna!

Napisała mi *przedwczora:*
„Komm' mein Liebchen! Komm' Etelka!
U mnie też są otomany,
A robota nie jest wielka!“

Lwowianka:

Co *si* stało?!... Te Bułgary,
Chłopcy bardzo są przystojne,
Ta naprawdę, te batiary
Robią o mnie z Turkiem wojnę?

Dajcie mnie po *szóstakowi,*
Bom ja z sercem dla Słowaków,
Tylko prędko, bo ją muszę
Do we Lwowa, na Łyczaków!

Żydówka:

Aj waj!... taki *gewałt* w nocy?!...
Zaraz wołam po policyę!
Goście może sobie *miszlą,*
Że to *Krukiew,* czy Galicye?

Tfu! *Gemores!* tu nie była
Jeszcze nigdy taka banda!
Ja *pojechacz* potrzebuję
Uf der Stell — do *tate* Branda!

Chat-Noir.

Geniusz kupiecki.

Pan Izydor, właściciel handlu dzieł sztuki i starożytności, przychodzi do domu pewnego wieczora, obładowany aż trzema większymi obrazami.

Pani Rebeka, czcigodna jego małżonka, widząc męża w ten sposób obładowanego, zapytuje go ciekawie, coby to miało znaczyć.

A on jej na to:

— Wobraź sobie, moja Rebekusiu... Ja potrzebowałem przyjąć nowego pomocnika do mojego handlu i zażądałem od niego, aby mi dał próbę uzdolnienia kupieckiego. I co ty powiesz na to, jak on zaczął mnie namawiać, tak ja sam musiałem kupić swoje własne trzy obrazy!...

Wesoły małżonek.

— Bój się Boga! Czwarty raz jesteś żonaty?... Która jednak z żon była ci najmilszą?...

— Najmilszą byłaby dla mnie ta czwarta, ale pod tym warunkiem, jeśliby się znalazła tam, gdzie są trzy pierwsze!

Salomonowy wyrok.

W jednem z małych miasteczek galicyjskich zdarzył się wypadek. Przypadkowo przejeżdżał tamtędy automobil, pod który dostała się jedna ze spacerujących po rynku obronicielek Kapitolu i znalazła tam śmierć męczeńską.

Automobilistę przytrzymano, właścicielka gęsi zażądała sześć koron odszkodowania.

Winowajca przyznawał jej racyę, za gęś jednak ofiarował tylko pięć koron, gdyż zwłoki nieboszczki pozostawiał do jej dyspozycyi.

Ale babina w żaden sposób na to zgodzić się nie chciała, wymagała koniecznie, aby sobie zabrano gęś, a jej złożono w gotowiźnie sześć koron.

Gdy rokowania pokojowe nie doprowadziły do żadnego rezultatu, powaśnione strony udały się przed oblicze miejscowego „zwierciadła autonomicznej sprawiedliwości“, t. j. pana burmistrza.

Po wysłuchaniu obydwojga, pokiwał pan burmistrz poważnie głową, zażył tabaki i rzekł:

— Więc wy chcecie koniecznie sześć koron?

— Tak panie prezesie! — odparła baba.

— A pan daje tylko pięć? — zwrócił się następnie do winowajcy. — I nie żąda pan gęsi?

— Tak!...

— Hm! — chrząknął pan burmistrz, oglądnął gęś jeszcze raz, zważył ją w ręku, potem wyciągnął z kieszeni koronę, położył ją obok pięciu, przedtem przez automobilistę złożonych, a *corpus delicti* kazał policyantowi gminnemu odnieść do siebie do domu.

W ten sposób nabył pan burmistrz tłustą gęś za koronę.

Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Excellencyo
od spraw zagranicznych!

Skoro tylko otrzymałem list Waszej Excellencyi, wzywający mnie do podjęcia poszukiwań za zaginionym Prohaską, przerwałem natychmiast macedońskie zajęcia w Salonikach i wyjechałem, naturalnie piechotą, a częściowo wierzchem na ośle, najpierw do Serbii, aby tu zasięgnąć języka, a stąd do Albanii lub Sandżaku, zależnie od tego, w którą stronę ślady poprowadzą.

A żeby Excellencya wiedziała, co to za wspaniały okaz oślego rodu! Zdaje mi się, że większy nawet od nas obu.

Muszę przy tej sposobności wyrazić przyjemne zdziwienie, nie wiedziałem bowiem, że nawet ministrowie od spraw zewnętrznych pisują wiersze! Najbardziej podobał mi się następujący ustęp:

„Strasznie nas dzisiaj gniecie losu łapa,
Ratuj Hermogenesie, ratuj zacny Klapa,
Co zechcesz, to otrzymasz odemnie w prezencie,
Gdy powiesz, czy Prohaska jest, czy nie w Prizrencie“.

Odpowiem na to Excellencyi również wierszem, choć poetą nie jestem:

„Naduczucie me serce lojalne rozsadza,
Że do mnie z tem żądaniem zwróciła się władza.
Lecz schowaj, Excellencyo, swoje złote wory,
Do posług dla ojczyzny jam jest *gratis* skory“.

Przedewszystkiem więc zwróciłem się wprost do Belgradu, gdzie dowiedziałem się, że przy samej muzyce wojskowej serbskiej służy trzydziestu siedmiu Prohasków, żaden z nich jednak nie jest identycznym z naszą zgubą.

Powiedzieli mi to oni sami, z dwoma tylko porozumieć się nie mogłem, gdyż przed tygodniem zmarli pod Czataldżą na cholerę azyatycką.

Sądzę, że Excellencya nie weźmie mi tego za złe, chęci miałem przecież jak najlepsze...

Przy tej sposobności miałem sposobność rozmówić się z królem Piotrem, bezpośrednio po jego tryumfalnym wjeździe do stolicy.

Chciałem się poinformować dokładnie co do owego nieszczęśliwego portu nad Adryatykiem, który naszej kochanej Austryi tyle robi kłopotu.

Rozmowa nasza była krótka, ale esencyonalna. Tak porozumiewają się tylko wielcy politycy, którym zależy na czasie.

Zbliżyłem się do króla i rzekłem:

— Durazzo?

A on mi na to:

— Co?... Tyś sam durak!

Coby to miało znaczyć, nie wiem, sądzę, że Excellencya przecież się domyśli i wyciągnie z tego konsekwencye na przyszłość.

Po długich a dolegliwych wędrówkach, w czasie których musiałem często nocować u poczciwych Serbów, znalazłem się nareszcie w Prizrencie.

Proszę sobie wyobrazić, co to za przyjemni ludzie, ci Serbowie!... Codziennie wieczór, kładąc się spać, na znak pokuty posypują sobie głowy, ale nie popiołem, lecz proszkiem perskim, do czego już i ja z konieczności się przyzwyczaiłem.

W Prizrencie odwiedziłem najpierw serbskiego komendanta, pana Jowanowicza, który przyjął mnie bardzo serdecznie, gdy się dowiedział, skąd przybywam i w jakim celu.

Siedział właśnie pod stodołą i zajęty był łuskaniem bobu dla swej armii, obok jego małżonka prała onucki, gdyż jak mi powiedziała, mężowi ogromnie pocą się nogi.

Najpierw kazał mnie dokładnie zrewidować, potem zapytał:

— Czem mogę służyć?

— Chciałem się dowiedzieć, co słychać z naszą Prohaską?

— Aha... niby z tym waszym konsulem? Żyje sobie, ale muszę go pilnować, bo szelma furt mi bruździ i buntuje Albańczyków! Wyobraź pan sobie, siedzę tu kiedyś i widzę, jak jakaś baba wali wprost do lasu, gdzie oni mają swój obóz. Pytam ją, dokąd dąży i co niesie, ona odpowiada, że pan konsul Prohaska posyła przez nią Albańczykom bochenek morawskiego chleba. Biorę go do ręki, coś zbyt ciężki... Rozkrajałem i wiesz pan, co było w środku?... Jeden karabin maszynowy, dwieście pięćdziesiąt manlicherów i sto tysięcy naboi... Wobec tego kazałem go przymknąć, ale zresztą nic złego mu się nie stało.

— A czy mógłbym go odwiedzić?

— I owszem!... Tylko proszę was, nie konspirujcie, bo ja tego ogromnie nie lubię!

Poszedłem do konsulatu austryackiego, patrzę, przed drzwiami warta serbska. Myślę sobie... no, no... jak oni honorują naszego przedstawiciela!

Zastałem go przy aristonie. Grał sobie najspokojniej: *Kde domow mój!*

— *Wie geht's, Herr Prohaska?* — zapytałem na wstępie.

— *Ja sem tady! Servus Brzezina!* — odpowiedział.

— Przepraszam... Klapa! — poprawiłem.

Gdy się dowiedział, w jakim celu i z czyjego polecenia do Prizrentu przybyłem, rozpłakał się z radości i zawołał:

— A ja już myślałem, że oni o mnie zapomnieli!... Panie Klapa, pan jest bardzo fajny chłop!

I daliśmy sobie buzi z dubeltówki.

Zaprosił mnie na obiad i poczęstował prawdziwymi knedlami czeskimi, nie smakowały mi jednak, gdyż musiałem je popić tylko wodą, bo piwa niema.

Nie straciliśmy przecież fantazyi i pijąc wodę śpiewaliśmy:

„Glo... glo... glo... gloria! Tak sem to piwečko wypija!...“

Widzi więc excellencya, że pan Prohaska jest zdrów i żywy, przekonałem się o tem namacalnie, a znam się na tem, bo wyuczyłem się tego w Salonikach.

A teraz ja mam interes do Excellencyi.

Z nru 274 „Kuryera Illustrowanego“ dowiedziałem się, że w Londynie żyje stara panna, księżniczka Christoforos Paleologue, mająca bezpośrednie prawa do tronu bizantyńskiego.

Ponieważ obecnie, zdaje się, zawakuje ta stolica, przypomniano sobie staruchę, a ja wpadłem na myśl, aby Excellencyi zaproponować, co następuje:

Byłbym gotów rozwieść się z moją Kundzią i ofiarować nazwisko i rękę swą owej damie, z warunkiem jednak, iż, oprócz stołu, podzieli ona ze mną i tron (z łoża rezygnuję...) Miałby Excellencya we mnie zawsze oddanego sobie sojusznika, który dla nikogo, ale dla Austryi otwarłby na oścież Dardanelle.

Proszę się nad tem zastanowić, ale zaraz, bo moglibyśmy się spóźnić!

Łączę piękne ukłony dla Excellencyi i Jego Czcigodnej Małżonki,

szczerze oddany

Klapa

c. i k. obywatel austryacki.

Dobra odpowiedź.

(Podsłuchane).

— Jak się panu podoba ten nowy profesor?

— Hm!... Jakżeby to powiedzieć? Bardzo wysoki i wcale dobrze zbudowany...

— Nie o to mi się rozchodzi... Chciałbym wiedzieć, co pan sądzi o jego głowie?

— Otóż, uważa pan, wysokiego człowieka bardzo łatwo można porównać z kilkopiętrowym gmachem, w którym, jak panu zapewne wiadomo, najwyższe piętra są zazwyczaj najgorzej urządzone.

W niebezpieczeństwie.

Rzecz dzieje się w celi więziennej na Wiśniczu.

Na polu szaleje prawdziwie grudniowa zawierucha, tu panuje przyjemne ciepło i familiarna atmosfera, wszyscy bowiem koledzy, zamieszkujący jedną salę, mieli się już czas dobrze poznać.

— Czy słyszycie, jakie tam na świecie psie powietrze? — rzecze jeden z pensyonarzy. — Byłem już o siebie w strachu, gdzie człek zimę przepędzi, bo, powiadam wam, miałem tak gorliwego obrońcę, że, gdyby nie to, iż dzięki Bogu przed końcem rozprawy zachrypł zupełnie z gadania, sędziowie przysięgli byliby mnie stanowczo jednogłośnie uwolnili... A tak, ma przynajmniej człowiek bodaj tę łyżkę strawy i dach nad głową...

Podczas egzecyrki.

Kapral: Rekrut Kohn! Piersi naprzód, brzuch w tył!... Jak rekrut będzie bankierem, wtedy zrobi odwrotnie!...

SKARGA EUNUCHA.

**Na brodę Proroka,
Dodajcie otuchy!
Straciły swą wartość
Szlachetne eunuchy.**

**Gdy handel kobietą
Zmieniony zostanie,
To eunuch co pocznie?
Ach! straszne pytanie!...**

**Ja pytam się dalej
Co dziś nam zostało?...
Do życia — za dużo!...
By kochać — za mało!...**

Chat-Noir.

Obrażona duma.

Dyrektor prowincyonalnego teatru nie zaangażował nadal pierwszego amanta, który był podporą całej sceny.

Gdy mu z tego powodu reżyser czynił wymówki, odpowiedział:

— Jakże mogłem to zrobić! To człowiek bezczelny!

— Co też pan dyrektor mówi!

— Ależ, jak Boga kocham!... Powiadam panu, rozmawiamy wczoraj o jednym z dyrektorów, którego obaj znamy, a on zwraca się do mnie ze słowami: „E... panie dyrektorze i on nie zna się wcale na prowadzeniu teatru!“...



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Zdzisław Lipiński. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— Czy wiesz baronie, że z tobą gotowabym była żyć samotnie na jakiej odludnej wyspie!

— I zresztą nie miałaby pani żadnych życzeń?

— Chyba... automobil i młodego szofera!